

Zofia Staniszkewska

Czarownica
z Radosnej

Zofia Staniszevska

CZAROWNICA Z RADOSNEJ

© Copyright by Zofia Staniszevska & e-bookowo
Grafika i projekt okładki: Zofia Staniszevska
ISBN 978-83-62480-74-6

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2011

Kto jest dziewczyna? – ja nie wiem
Adam Mickiewicz „Świtezianka”

ROZDZIAŁ II

*Nocną porą podąza na szczyt góry,
gdzie odwieczny stoi kamlot ponury,
dziwożona, bieśnica, pokuśnica,
sunie za nią wszelaka martwica...*

Joasia z braciszkiem chodzili nad staw we wsi przyglądać się dzikim kaczkom. Staw był mały i okrągły, porośnięty trziną i starymi łopianami. Na ogromnych łopianowych liściach w kształcie serca wylegiwały się tłuste ślimaki jak w baśni Andersena. Drażniąco pachniało tu stojącą wodą, mokrymi trzinami i białymi odchodami kaczek i gęsi. Gdy rodzeństwo napatrzyło się już na staw i ptactwo, zaglądało do siwiutkiej Murielowej, zwanej przez wszystkich Babuchą. Babucha była cała szara, oprócz oczu, które miały taki sam kolor, co żółto-zielona trawa porastająca łączkę, na której wypasały się gęsi. Murielowa mieszkała na skraju wsi na niewielkim wzgórku, w drewnianej chatce z kamienną podmurówką. Chatkę tę zbudowano tuż przed I wojną światową i stała tak do dzisiaj w niezmienionym kształcie. Co roku na wiosnę Babucha „bieliła” jej ściany niebieskim wapnem. Przed dom-

kiem znajdowała się jedyna w Radosnej studnia na drewnianą korbę. Studnia była głęboka i wyciągana z niej woda zawsze była tak zimna, że aż zęby cierpły, gdy się ją piło. Murielowa sama chodziła z wiadrami, uczeponymi na nosidłach, po wodę, bo mimo wieku siły jej dopisywały. A ile lat miała Babucha? Może osiemdziesiąt, może znacznie, znacznie więcej. Murielowa nie zawracała sobie głowy liczbami, bo cóż to zmieniało?

Jaś i Joasia co kilka dni wbiegali na wzgórek Babuchy. Tu w cieniu wysokiego modrzewia stała koślawa ławka, oparta o wyszczerbiony płot. Na płocie suszyły się dzbanki i wiadra, nierzadko też świeżo wyprane szmaciane, kolorowe chodniczki. Za furtką biegła kuliście ścieżka wyłożona obłymi kamieniami. Prowadziła do trzech schodków. Dzieci wbiegały po schodkach i mocno pukały. Najczęściej w domu nikogo nie było, klucz wisiał na kołku, a krzywe, ale starannie rzeźbione drzwi przymknięte były na haczyk. Wtedy dzieci szukały Murielowej w ogródku lub w obórcie.

W obórcie mieszkała koza uparciuszka – Mećka. Mećka była właścicielką białego, szorstkiego futerka, wyliniętego krótkiego ogonka i rogów zakrzywionych jak sierpy oraz tak zwanego charakteru. Co rano trzeba było siłą wyprowadzać na pastwisko, ciągnąc na sznurku, opierające się i meczące stworzenie, chyba że miało się kilka marchewek lub pietruszek. Wtedy Mećka drobila posłusznymi kroczkami, bez zbędnego oporu, podgryzając tylko od czasu do czasu przysmak. Babucha podejrzewała, że koza mogłaby tak dojść do samego piekła i nawet dalej. Zwykle

dochodziła jednak tylko do podmokłej łąki Waligóry, gdzie pasła się przy kępie niskich wierzb.

Koza uwielbiała też jeść szmaciane chodniki, zasłonki z okien, buty, a raz spałaszowała z całkowitym spokojem kapsel z Pokemonem, który wypadł Jasiowi z kieszeni. Pomimo tego nieznośnego charakteru, Babucha kochała Meckę i uważała ją za święte stworzenie. Bo koza dawała wspaniałe, kremowe, tłuste mleko. W tym mleku Drozdowa na śniadanie maczała bułkę, na obiad – chleb, a kolację stanowiły rozmoczone herbatniki. Gdy staruszka głaskała twarde futro zwierzaka, na jej twarzy wyrzeźbionej słońcem i wiatrem pojawiał się szeroki bezzębny uśmiech, przypominający słynny uśmiech Gandhiego.

*

Późnym wieczorem, gdy Jaś już spał, wybrałyśmy się z mamą do naszego Sanktuarium. Słońce już zaszło i w Mrocznym Zagajniku szybko robiło się ciemno. Mama niosła niewielką łopatkę, ja – malutką drewnianą szkatułkę. Wewnątrz niej umieściłyśmy jaspisowe, olbrzymie kolczyki, które mama odziedziczyła po babci.

Gdy dotarłyśmy do ołtarza, nie zwlekając zabrałyśmy się do roboty. Ja świeciłam latarką, a mama ostrożnie zdejmowała mech wraz z ziemią, rosnący z tyłu malowanej skrzynki. Później wykopała niewielki dół i w to miejsce włożyła szkatułkę. Przykryła ją starannie piaskiem

i nienaruszonym mchem. Zamknęła oczy, a wówczas usłyszałam Ciszę w całej jej potędze.

Powoli wracałyśmy polną ścieżką. Światło, zostawione w kuchni, na wypadek gdyby obudził się Jaś, czyniło z naszego domu bajkową chatkę. A mi zrobiło się żal tych starych kolczyków ozdobionych zielonym jaspisem, choć mama była pewna, że ani ja, ani ona nie będziemy ich nosić, a przecież nie można było sprzedać czy wydać pamiątki po kimś bliskim. Za to biżuteria zakopana głęboko, złożona w ofierze pradawnej bogini: Ziemi-Matce, będzie pracować na naszą korzyść. Ta odwieczna bogini włada naszymi uczuciami i pomoże mojej mamie w odnalezieniu miłości.

*

Wracając ze sklepiku w Radosnej, wstąpiliśmy po drodze do Astronoma. Na ścianach w jego salonie wiszą wielkie mapy nieba, a z sufitów zwieszają się zakurzone makiety samolotów i żaglowców. Trochę się tu czuję jak w pokoju Jasia, on też gromadzi samoloty, statki, no i jeszcze samochody. Astronom nie miał w domu niczego smacznego do jedzenia, a bardzo chciał nas czymś poczęstować i wymyślił zsiadłe mleko. Mama zachwycała się tym mlekiem, że niby takie twarde i pachnące, ale ja tam nie lubię kwaśnego mleka. Nie piję go, odkąd się dowiedziałam, że pełno w nim bakterii. Gdy Paweł z mamą opijali się mlekiem, wszedł pan Chruściel.

– Dzień dobry!

– O, witamy radnego! A jaka to sprawa was do mnie sprowadza?

– Ja wedle mostku na naszej Dziwożnie, o który monitowaliście i słaście pisma do urzędu. Krótko mówiąc... na dzień dzisiejszy nic się nie da zrobić.

– Nic? – Paweł był wyraźnie zawiedziony. – Bigotowa też umywa ręce, a to przecież wasza wioska. To kiedy coś zrobicie? Jak już zdarzy się nieszczęście?

– Dokładnie, ale nic nie poradzę. Nie ma w gminie funduszy. Poza tym święty Nepomucen strzeże mostu – Chruściel uśmiechnął się półgębkiem.

– Aaa... – Paweł coś sobie przypomniał. – A w nocy, to nic wam nie przeszkadzało, sąsiedzie?

– Nie, ja mam mocny sen. A hałasował ktoś po ciemku? – Gość wyraźnie się spłoszył. – Ja tam nic nie słyssał. Tak... do widzenia.

– Do widzenia. – Spojrzeliśmy ze zdziwieniem na koślawą sylwetkę, znikającą szybko w drzwiach.

– Czegoś się przestraszył? – spytała mama, ale Astro nom nie miał pojęcia.

Wychodząc natknęliśmy się na Ryśkową w otoczeniu jej „dworu”, czyli Jasioczki i Stachurzyny, kobiet pod osiemdziesiątkę, również opatulonych w chusty. Podobne do siebie jak dwie krople wody, różniły się jedynie tym, że Jasioczka była chuda jak kij od miotły, zgięta w pół, a Sta-

churzyna przysadzista niby kopa siana. Ryškowa z miejsca podniosła lament:

– Ktuś po nocach spać ludziom nie daje, ino ciągiem rumota a klamota. Rano człowiek całkiem stetrany łod tygo hałasu. Nie Pawył to czasami, nie wicie wy? – Spojrzała ostro na mamę.

– Ee... – stęknęła Jasioczka – chyba nie łyn, to z inszej strony. Tak kłekota wedle północks nad rzekom, że mnie całkiem śpik łodbiega. Nie Pawył to ale.

– Jak nie łyn? Jak nie łyn? – zaciętrzewiła się Stachurzyna – przecie nie radny.

– Czy ja gadom, że radny? Po mojemu to tam gdziesik rumota. – I Jasioczka wskazała żylastą dłonią na kępkę rosochatych wierzb, rosnących z tyłu zabudowań Pawła i Chruściela, na podmokłej łące tuż przy rzece.

– Aa... chyba że we wierzbach – przytaknęła jej Stachurzyna.

– Tfu! – splunęła Ryškowa i prawą ręką szybko się przeżegnała. – Wiadomo to, że we wierzbach wszelakie zło siedzi.

– Jakie zło? – zaciekawilałam się.

– A Smółka siedzi.

– Lury walicie, Stachurzyna, lury, mówię wam! Smółka dawnij siedział, racja, a ile trzeszczoków i łopilców zwabił i natopił w rzece, to zaś nie naliczysz. Ten to lubiał na fujarce wierzbowej grać, a przywabiać, pokuśnik jedyn.

Ale jak grał, ło Jezu Najśłodszy! Raz sama słyszałam, chociaż mała jako knypek byłam natenczas. Tera zaś siedzi Wideracki diabol, co próchnem świeci po ciemnicy, jak kto w dziupłę szpycuje.

– A co wy, Jasioczka, pierdolicie po próznicy? To nie wiecie, że w jamach wierzbowych rozsiadł się polny diabol? – Z wiedzą pokiwała głową Ryškowa i smarknęła w palce. – Každy jedyn go widział we wsi.

– Každy jeden, ale po ómoku i jak nałojony był, tak i mory mógł nie rozeznać po pijaku. Może polny Rokietnik go straszyl, może Wideracki – bagieny – nie dawała za wygraną chuda kuma.

– Nie piekłoszcz się ino, Jasioczka. Rokita czy Wideracki diabol – jedno czarcie nasienie – pogodziła je Stachurzyna.

*

Tomek szybko i z wprawą czyścił końskie boksy. Dokładnie wybierał zleżałą, mokrą słomę i nawóz, następnie rozrzucal świeżą ściółkę. Wyczyszczenie stajni zabierało chłopcu nie więcej niż pół godziny, a do pracy zabierał się raz na tydzień lub rzadziej. Boksy nie były specjalnie zawalone nawozem, ponieważ konie całe dnie i noce spędzały na wielkim pastwisku, otoczonym żerdziami i pastuchem. Do stajni przychodziły tylko po wodę i owies, który dostawały rano i wieczorem. Mróz czy deszcz nie

przeszkadzały im w spokojnym, systematycznym skubaniu trawy, co najwyżej upał, rój meszek albo uporcezywy i zimny wiatr sprawiały, że szukały schronienia w stajni.

Gdy Tomek kończył robotę, rozrzucając czystą słomę na ziemi, cicho podeszła Joasia.

– Tomaj, dzisiaj przy młynie? – zapytała szeptem. – O czwartej? Tylko nic nie gadaj mojej mamie, jeszcze mnie nie puści. I weź ze sobą dwie maski. Dzisiaj ja też będę nurkować.

– Na pewno? Woda w rzece jest kretynsko zimna.

– Spokojnie! No to... – rozejrzała się dookoła. – Cześć! – i szybko zniknęła za drzwiami stajni.

*

Wodne panny o szklitych włosach tańczą na powierzchni rzek. Niepostrzeżenie wylaniają się z przybrzeżnych szuwarów, by w pełnym słońcu zacząć pisać do muzyki motyli skrzydeł. Ich delikatne stopy pozostawiają na taflach wody migoczące ślady. Ich piersi ozdobione są naszyjnikami z pereł. Tańczą z uśmiechem i niebywałą gracją, ale wystarczy spojrzenie człowieka, by przerażone syreny przeistoczyły się nieodwołalnie w rzeczną pianę.

*

– Przyniosłem maski. I ręknniki.

Głos kumpla wyrwał Joasię z zamyślenia.

– Przyszłem później, bo... – Tomek: nieświadomie.

– Chyba: przyszedłem – Joasia: pedagogicznie.

– Przyszedłem – się pisze. Przyszłem – się gada – Tomek: z inwencją.

– Powaga? – Joasia: ironicznie.

– Nie bój języka – Tomek: z niejaką nonszalancją.

– Spoko leszcza – Joasia: pojednawczo.

Dziewczynka podeszła do chłopaka i sięgnęła po maskę.

– Dawaj moją – założyła sobie maskę na szyję i zrzuciła sukienkę, pod którą miała strój kąpielowy.

– Pokażę ci miejsce, gdzie będziemy szukać.

Zeszli w dół rzeki, tak że ruiny młyna wznosiły się za ich plecami, a przed nimi znajdowało się głębokie zakole.

– Jeśli woda porwała jakieś rzeczy z młyna, to założę się, że w tym właśnie miejscu opadły na dno! – Tomek z entuzjazmem przekonywał do swojej teorii Joasię.

– To co, nurkujemy?

– Mówisz i masz!

Dzieci weszły do wody i natychmiast wydały z siebie dzikie okrzyki. Czerwcowe rzeki nie należą do ciepłych.

*

W Szarym Jeziorze pod wieczór woda skrzy się srebrzyście. Łabędzie otaczają mamę, stojącą po kolana w wodzie i wyjadają jej chleb z ręki. Poruszają delikatnie śnieżnobiałymi skrzydłami, a ich esowato wygięte szyje zakończone ognistą kreską dzioba kołyszą się w przedziwnym tańcu. W końcu psy płoszą królewskie ptaki, a one ulatują z metalicznym poszumem piór, wydając chrapliwe „kiarr”.

*

Ostatni roboczy apel przed końcem roku. W sali gimnastycznej, w której panuje upał i duchota, bo zakratowane okna się nie otwierają, wszyscy się już zgromadzili, oprócz dyrektki. Zniecierpliwione szeregi uczniów falują i szemrzą. Ucisza je dopiero energiczny stukot okazałych obcasów, zwiastun nadciągającej Dyry. Rzeczywiście, za moment zjawia się Kopytko w towarzystwie mikrej postury zastępcy. Czuję, jak świat się ochładza i ciemnieje – i o dziwo nie jest to tylko pusta metafora oddająca stan mojego ducha – to nasza kochana pani dyrektor przecho-

dząc, zasłoniła swym masywnym ciałem słońce, którego promienie padały mi dotychczas na twarz.

– Witam wszystkich, a szczególnie drogą młodzież, w dniu dzisiejszym! I tak, wspólnymi siłami, dobrnęliśmy prawie do finalnego końca bieżącego roku szkolnego. Mówię: „dobrnęliśmy prawie”, bo zebrały nas tu sprawy niecierpiące zwłoki, związane z tym jeszcze rokiem, a które nie mogą poczekać do września. I dopóki ich nie rozwiążemy, nikt nie będzie leżał do góry brzuchem. Nasza szkoła, szkoła, która leży w kraju, który dał światu tak zasłużonych ludzi, jak Mikołaj Kopernik i Jan Paweł II, nie może dawać gminie złego przykładu. Więc po primo: sprawa pękniętego sedesu w łazience chłopców na I piętrze. Dysponujemy następującymi poszlakami: pani woźna wczoraj po południu usłyszała jakieś wybuchy – podejrzewamy, że ktoś używał petard. Kto i po co? Oto jest pytanie! Nie wiemy, bo nie złapaliśmy deli... de... – tu Dyra się wyraźnie zakapućkała, więc poprawiła kunsztowną fryzurę koloru smoły, żeby zyskać na czasie i wybrnęła całkiem zgrabnie – de... natów na gorącym uczynku. Ale moja w tym głowa, żeby się dowiedzieć, kto w sprawie wzmiankowanego sedesu maczał palce.

W tym momencie kilku chłopców z tylnych rzędów parsknęło po cichu śmiechem i z głupimi minami zaczęło udawać, że zanurzają palce w czymś obrzydliwym i śmierdzącym.

– Problem ten jest poważny, ponieważ nie tylko naraża szkołę na dodatkowe i niespodziewane koszty, ale świadczy o podejściu niektórych uczniów do szkolnego

mienia. Ci uczniowie, którzy mają szkołę i muchy w nosie, choć sami mają jeszcze pod wspomnianym nosem mleko, narażają na szwank dobre imię pozostałych kolegów. Po secundo...

Dalszych uczonych wywodów naszej Dyry nie słyszałam. Od pewnego czasu przesuwałam się nieznacznie w prawo, aż ukryłam się za plecami historyka. Wyjęłam z torebki książkę „Jak zmierzyć wszechświat” i z ulgą zagłębiłam się w lekturze. Podczas takich przemówień dobrze robi dystans co najmniej kilku lat świetlnych.

*

W śnie cofam się do czasów Początku Istnienia. Kładę się na szumiącym brzegu, mój brzuch faluje odpływami morza. Śnię o kołyszącym zapachu, czuję ciszę i ciemność oceanów. Kurczę się do wielkości orzecha włoskiego, po bokach głowy wyrastają mi oczy delfina, a ogonek kijanki powoli zanika. Poruszam płetwiastymi łapkami. Nie jestem zdecydowana na płuca, więc wytwarzam zaczątki skrzeli. Może się przydadzą w wielkich, ciepłych wodach? Moje półprzezroczyste myśli pływają w zabawnie wyolbrzymionej głowie.

Gdy nadejdzie Czas Narodzin, zapomnę o podwodnym byciu. Będzie on tak nierealny, jak teraz nierealne jest niebo.

*

Paweł stwierdził, że znudziły mu się już ćwiczenia na padoku i chciałby pojechać z Jagodą w teren. Osiedłali więc konie i wczesnym sobotnim rankiem ruszyli w las. Sosny pięły się nad nimi wysoko w górę lub malowniczo przeciągały nad drogą. Błyszcząca intensywnie zieleń, jeszcze nie zakurzona letnimi upałami, mieszała się z białymi gronami przekwitających kwiatów czeremchy, głogu i kaliny.

Paweł, który jechał pierwszy, ponaglił Beduina i po chwili już galopował. Wałach ciągle przyspieszał, aż przeszedł w cwał, a Jagoda z przerażeniem zauważyła, że jeździec nie panuje nad koniem. Krzyknęła:

– Skróć i skręć wodze! – i zaczęła wyprzedzać Pawła. Epona położyła po sobie uszy i wyciągnęła się jak struna. Po kilkunastu sekundach klacz znalazła się z przodu i Jagoda zaczęła wytracać szybkość. Wałach, nie mając wyboru na wąskiej ścieżce, również zwolnił. Przeszli do kłusa, po chwili do stępa. Jagoda obróciła się do tyłu:

– I jak, żyjesz?

– Dzięki tobie, mój ty księciu na białym koniu! – Paweł nie wyglądał na przestraszonego.

– Chyba: księżniczko.

– A widziałaś kiedyś księżniczkę, dosiadającą klacz i na dodatek ratującą rycerza na rozszalałym wałachu?

- To trzeba to zmienić!
- Ciekawe, jak? – zainteresował się.

BAŚŃ DRUGA O SZKLANEJ GÓRZE

*Baj, baj,
w zamorskim kraju
żyła, była
czarownica.
Zła jędza,
okrutna złośnica.*

*Jak nieszczęście
żółte lica,
oczy ropuchy,
nos z ziemniaka.
Słowem:
brzydka taka!*

Nikt jej nie chciał.

Nie dziwota:

ożenić się z taką

to sromota.

W rozpaczy

się czarownica miota:

„Latka lecą,

mija uroda,

a ja jak nie mam,

tak nie mam chłopca.

Obrażona, zawiedziona

rzecze:

„Mój ból

synem królewskim ulecę.”

Jak postanowiła,

tak zrobiła.

Smok,

smok na jej rozkazy!

A tu jeszcze

*głaz na głazy
i powstaje
Szlana Góra.
Pod nią: ziemia mała,
nad nią: biała chmura.*

*Zamek wysoki, w zamku alkierzyk.
Królewicz tu czarnooki
o bielusieńkich rękach
siedzi z igielką przy krosienkach...*

– Dlaczego: bielusieńkich? – krzywi się Joasia.

– Bo wtedy opalenizna nie była w modzie – żartuje Jagoda.

– A mnie się wydaje, że ja już tę baśń słyzałem, tylko ona była trochę inna – zauważa Jaś.

– To może tak:

*Zamek wysoki, w zamku alkierzyk.
Królewicz tu niby żołnierz
bez przerwy śniąc o bohaterze
zabija gady na komputerze.
Wtem smok wlatuje do alkierza!*

*Królewicz w te pędy
pod łóżko swe zmierza,
ponieważ bardzo boi się zwierza.*

*Czarodziejka zła, smok ponury
strzegą księcia i góry.
Na szczycie góry księżę śpiewa,
a czarownica poziewa.
Księżę ręce załamuje:
„Kto mnie tutaj uratuje?”*

*Ushyzała o księciu Rozalka,
co nad życie
lubuje się w walkach.
Dosiada rumaka dzielnego
i bieży do smoka przezłego*

*Chwila – osiąga szczyt!
Wtem – jęk i brzdęk, i zgrzyt!
Toczy się smocza głowa,
królewicz klęka i słowa
czułe kieruje do panny,*

*a ona się płoni i chowa,
przed młodzieńcem jak słońce
ucieka z góry błyszczącej.**

– Mamut, tak się nie kończy baśni – Joasia jest zawiedziona. – A co się stało z Rozalką i księciem?

– Jak to: co? – dziwi się Jaś. – Ożenili się. Bajki o królewiczach i pannach zawsze się tak kończą.

*

– Lusu, nie mogę cię wziąć na ręce, boli mnie kark i szyja, bo wczoraj spadłam z konia – tłumaczyłam cierpliwie czteroletniej siostrzenicy, która przytulała się do moich kolan.

– Pokaż, gdzie boli! – zażądała.

– Jak mam ci pokazać? Szyja boli mnie w środku.

– To ją otwórz! – Lusiu szeroko otworzyła niewinne niebieskie oczy. Była specjalistką od rozkładania na części lalek.

* Bajka jest nawiązaniem do wiersza Ewy Szelburg-Zarembiny pod tym samym tytułem.

– Ludwiczko, idź się pobawić z Jaśkiem – zakomenderowała Aga. Siedziałyśmy w kuchni przy małym drewnianym stole, popijając pachnącą herbatę.

– Nie wytrzymam tak dłużej z Darkiem – Aga energicznym ruchem poprawiła włosy – nic, tylko praca, a po pracy komputer, telewizja lub gazety. No, ewentualnie ugotuje obiad. Sam. Ja mu w kuchni podobno przeszkadzam. Nie mamy już wspólnego życia. I jeszcze te jego gry, strzelaniny... Noc w noc.

– A mówiłaś mu, że chcesz z nim spędzać więcej czasu? – rzuciłam lekko, ładując naczynia do zmywarki.

– Czy mówiłam?! Setki razy. Ale on mnie w ogóle nie słucha, co wpuści jednym uchem, zaraz wypuści drugim. Nie może się skoncentrować na naszej rozmowie, bo zaraz ktoś odrąbuje mu głowę, strąca samolot lub wycina wojsko – zależy, co zapuści na kompie.

– A nie możesz poczekać, aż skończy grać? – zapytałam, jak się okazało, naiwnie.

– Nie da rady. – Siostra spojrzała na mnie z irytacją. – W dzień nie mam czasu na poważne rozmowy, więc czekam z tym do wieczora. A wieczorem mam dwie możliwości. Albo ja mówię, a Darek bawi się w komandosa i mi potakuje, albo proszę go, żeby wyłączył kompa.

– No i?

– No i guzik! Wtedy natychmiast zasypia, najdalej przy trzecim zdaniu. – Aga westchnęła.

Korciło mnie, żeby powiedzieć siostrze coś, o czym ona wkrótce się dowie. Ale jak zwykle udało mi się powstrzymać. Westchnęłam tylko. I w tę ciszę wzdychających kobiet wdarły się dziecięce głosy, spierające się o coś:

– Nie, człowiek różni się od zwierząt tym, że ma mózg. I człowiek ogląda telewizję, a inne zwierzęta nie mogą – perorował Jaś.

– I tym się różni, że czaruje i że nie szczeka – dodała Lusja.

– I że nie ma szczeciny – zgodził się chłopczyk – no chyba, że taki staruszek.

– Albo staruszka.

– No, jak Stara Ryškowa.

Chcąc nie chcąc, musiałyśmy się uśmiechnąć.

*

W sklepiku w Radosnej nie można było dostać warzyw ani owoców. Kto zresztą na wsi kupowałby truskawki, czereśnie, kapustę czy rzodkiewki? Latem ludzie z ogrodów, pól i sadów zbierali to, co im było potrzebne do jedzenia. A gdy czegoś im brakowało – z sąsiadami prowadzili handel wymienny: buraki za ziemniaki, cebulę za marchewkę. Tylko chleb wypiekali już coraz rzadziej, więc w sklepie nigdy nie brakowało świeżego, wyjątkowo

smacznego pieczywa. Jagoda codziennie po pracy zaglądała do pulchnej pani Teresy po połówkę chleba i najnowsze informacje z Radosnej.

Pod sklepem zwykle przesiadywał miejscowy głupek przezywany Szurniętym Mirkiem. Mirek jeszcze pięć lat temu wcale nie był pomyłony, za to posiadał młyn nad rzeczką Dziwożną. Co prawda już od lat nieczynny, ale za to ciągle wspaniale się prezentujący. Aż do pamiętnej wiosennej powodzi, kiedy spokojna zazwyczaj rzeka wylała, podeszła pod progi domów, a z młyna zostawiła tylko kupę gruzu. Wtedy właśnie szanowany młynarz, pan Mirosław przedzierzgnął się w Szurniętego Mirka. Ludzie mówili, że postradał zmysły przez pieniądze, co to je trzymał w sejfie wmurowanym w ścianę. Po powodzi ciągle chodził nad rzekę wypatrywać swego skarbu. Przez pierwszy rok po tragedii niektórzy nawet szukali z młynarzem metalowej skrzynki, mimo to nic nie znaleziono. Szurnięty Mirek zamieszkał u córki, ale w chałupie nigdy nie mógł długo usiedzieć. Najczęściej widywano go pod sklepem, jak w skupieniu wypełniał kupon Toto Lotka lub nad Dziwożną, gdzie podobno zaprzyjaźnił się z dzikimi zwierzętami.

Jagoda wychodząc pozdrowiła młynarza. Siedział na betonowych schodach sklepu. Na ramieniu przycupnął mu szary gołąb z czarną pręgą na szyi. Było to o tyle dziwne, że wiejskie ptaki są bez porównania bardziej płochliwe od miejskich, na pół oswojonych.

– Ano, może być i dobry, pani Jagodo! – odpowiedział zarośnięty mężczyzna.

– Ktoś w Radosnej hoduje gołębie?

– Po kie lichu ma hodować sierpówki? – wzruszył ramionami, na co ptak rozpostarł skrzydła, żeby odzyskać równowagę, zagruchał z oburzenia: *ru-kuu-ku*, ale ani myślał odlecieć. – No, no, Szary Braciszku, spokojnie. – I szalony młynarz pogłaskał delikatnie ptaka po grzbiecie, następnie wstał, nachylił się w kierunku Jagody i głośnym szeptem zapytał:

– A nie znalazłaś pani mojego skarbu?

– Niestety, nie znalazłam, panie Mirku!

– Hmm... to szkoda, szkoda, że pani nie znalazłaś – mruknął z rezygnacją i usiadł z powrotem na schodach.

*

Epona miękko, swobodnie galopuje. Za nią w śmiesznych podskokach biegnie na chudych nóżkach hreczkowaty ogierek. Jagoda uwielbia ranną, orzeźwiającą jazdę. Trzeba tylko wstać o wpół do szóstej, po cichu, by nie zbudzić dzieci. Wypuścić szalejące z radości psy, osiodłać konia. W lesie żywego ducha, tylko ptaki wydzierają się jak oszalałe, a na drodze można spotkać zdziwionego zająca, lisa lub daniela.

Piasek osypuje się spod kopyt, gałęzie uderzają w głowę, ramiona. W końcu zlany potem koń zwalnia, idzie stępem kołyszac się miarowo. Jagoda czuje, jak stanowi

jeden organizm z klaczą, poddany tym samym ruchom, prawom. Już wie, jak narodziły się mity o Centaurach. Zmęczona, wraca do stajni. I jest to początek udanego dnia.

Oczywiście według Jagody.

*

– Widzę! Widzę pierścienie! – krzyczała podeksycytowana Jagoda. – Nie wiedziałam, że Saturn jest tak piękny! – Znów przywarła okiem do okularu białej tuby Soligora. – Widzę nawet przerwę między pierścieniami!

– Dzisiaj mamy szczęście. Jest nów, bezchmurne niebo, powietrze nie faluje – nie zawsze można wypatrzeć Przerwę Cassiniego, szczególnie latem – Paweł rozglądał się po roziskrzonym niebie.

– Mamo, posuń się, teraz ja! – domagała się swoich praw Joasia.

– Pierwszy raz oglądałam planety przez teleskop – przyznała się Jagoda, ustępując miejsca córce.

– Bo wcześniej nie chciałaś dać się namówić.

– Moja strata.

– Astronom, teraz chciałbym zobaczyć czarną dziurę!
– Jaś już napatrzył się na Saturna.

– Czarnej dziury nie można dostrzec.

– Nawet przez taki teleskop? Z dwudziestocentymetrowym lustrem? – Chłopiec był zawiedziony. – To skąd wiadomo, że czarne dziury naprawdę są?

– Z czarną dziurą to jest trochę tak jak z Panem Bogiem. Nie możesz jej bezpośrednio zaobserwować, ale wierzysz, że istnieje, bo tylko w ten sposób możesz wytłumaczyć niewytłumaczalne skądinąd zjawiska.

– Ho, ho – roześmiała się Jagoda. – Jakie to szczęście dla Boga, że naukowcy nie udzielili odpowiedzi na wszystkie pytania.

– A czy to prawda, że nasze Słońce może w przyszłości przemienić się w czarną dziurę? – Joasi spodobał się ten temat.

– Raczej nie. Nasze Słońce nie ma tak wielkiej masy, dzięki czemu gdy skończy mu się paliwo, a nastąpi to dopiero za jakieś pięć miliardów lat, najprawdopodobniej przeistoczy się w *białego karła*. Zaraz namierzę dla was takie białe maleństwo.

Podczas gdy Paweł celował w roziskrzone niebo szukaczem, przeczesując miliony lat świetlnych, Jagoda rozejrzała się w promieniu kilku metrów. Znajdowali się na słynnym przeszklonym strychu Pawła, zwanym we wsi „błyszczącym dachem”. Kurz grubym, szarawym nalotem pokrywał tu wszystko z wyjątkiem gitary i teleskopu, tworząc wymarzoną atmosferę do podglądania wieczności.

*

W niedzielne słoneczne popołudnie Jagoda strzygła trawnik naokoło domu. Sprawnie manewrowała kosiarką między niewielkimi krzaczkami berberysu, które przycupnęły niczym śpiące karzelki wzdłuż ścieżki prowadzącej do stajni. Ostry, świeży zapach miazdzonej trawy mieszał się ze słodką, staroświecką wonią róż rozpiętych na drewnianej pergoli. Psy leniwie wylegiwały się na ocienionym tarasie, nie reagując na podchody much.

– Dzień dobry, somsiadko! – Stara Ryškowa starała się przekrzyzczyć warkot kosiarki.

– A... witam, pani Ryškowa. – Jagoda wyłączyła kosiarkę.

– Jakże to, pracujecie, w Pański dzień? Toż to grzech!

– Dla mnie koszenie to przyjemność, nie praca.

– Wej... bo i grzech bywo przyjemny. Gdyby tak zaś go jeszcze nie było słycać, ady ta maszynka głośna bardzo! – Ryškowa rozgarnęła żylastymi dłońmi krzaki jaśminowca, osłaniające ogrodzenie. – No, a kiedy to dacie na zapowiedzi? Mnie możesz, kobito, śmiało powiedzieć – zapewniła odsłaniając w uśmiechu ostatni zabytkowy zęb – górną jedynekę.

– Na zapowiedzi? Ja? – nie zrozumiała Jagoda.

– Z Pawłym, razem, mo się rozumieć.

– Och... – teraz Jagoda już się domyśliła: ktoś widział, jak kilka dni temu Paweł odwoził ją z dziećmi. W nocy. Jeśli wie o tym Stara Ryškowa, to tak, jakby wiedziała cała wieś.

Spis treści:

ROZDZIAŁ I.....	5
ROZDZIAŁ II.....	32
ROZDZIAŁ III	58
ROZDZIAŁ IV	93
ROZDZIAŁ V	112
ROZDZIAŁ VI	137
ROZDZIAŁ VII	203
ROZDZIAŁ VIII.....	222
ROZDZIAŁ OSTATNI	251



„Czarownica z Radosnej” jest to baśniowo-poetycki romans, dziejący się na prowincji. Taki trochę realizm magiczny z przymrużeniem oka - na miarę polskiej wsi. Główną postacią książki jest trzydziestoletnia (z procentem) Jagoda i to wokół niej skupiają się najważniejsze wątki: romansowy i sensacyjny. Ale jak to w powieści bywa, jest dużo bohaterów i wątków pobocznych.

Zofia Staniszevska jest autorką:

- powieści „Czarownica z Radosnej” (2008) i „Moja les” (2010);
- bajek – współpracuje z pismem dla dzieci „Świerszczyk”, wydawnictwem Zielona Sowa i Publicatem;
- dramatów – sztuce teatralnej „Urodziłaś się prostytutką” przyznano w 2009 r. główną nagrodę na WINDOWISKU – Gdańskim Festiwalu Teatralnym;
- wierszy – laureatka wielu konkursów poetyckich – tomik „Jak to było z Zofią i gwiazdą”.

www.zofiastaniszevska.pl

Patronat medialny:

 **nakanapie.pl**